

EUGENIUSZ
DEBSKI



MOHERFUCKER
HELL-P

piaskun

Eugeniusz Dębski "Hell-P" - fragment powieści

Jagna Rolska



Copyright © by Eugeniusz Dębski 2008

Copyright © by Piaskun 2014

Eugeniusz Dębski
Hell-P

FRAGMENT

Pokancerowane kopniakami, pokryte spłowiałą na słońcu farbą drzwi do budynku uchyliły się, po czym ukazała się ręka i pomachała do mnie.

- Wypuście dzieci! - zawołałem. - Będziecie mieli mnie.

- Chodź tu i nie dyskutuj, bo będzie krzywda! - rozległ się inny głos.

Zaleciało fałszem. Podniosłem ręce wyżej i opuściłem - to był nasz sygnał: „Uwaga!”. Podszedłem do drzwi i zobaczyłem, że stoi tam mężczyzna z bronią. Nie starszy z braci, Marek, tylko... I nie młodszy, Józek! Ktoś inny, bardzo marnie przypominający Józka. Wykrzywił usta w pogardliwym grymasie i pomachał lufą tetetki.

- Zrzuć kamizelkę! - warknął.

Wolno odpiąłem rzepy, podniosłem płat brzuszny, obróciłem się i podniosłem to, co miałem na plecach. Przy okazji wyskandowałem bezgłośnie, samymi ustami, do wpatrzonych we mnie Boja i Żaby: „To. Nie. Jó. Zef”. Znowu stanąłem twarzą do bandyty.

- Ściągaj, powiedziałem!

- Wolę mieć na sobie...

- Możesz se woleć. Zrzucaj, kurwa! Po chuj tu przylazłeś? Kłócić się ze mną?

Odpiąłem jeszcze dwa rzepy i rzuciłem kamizelkę na suchą trawę.

- Włóż!

Wszedłem do budynku.

Bandzior się cofnął, skinął na mnie i pokazał, że mam stanąć twarzą do ściany. Przejechał ręką po moich plecach, bokach i kroczu, podejrzenie sprawnie. Coś tu śmierdziało, coraz mocniej. Szarpnął mnie za ramię i pchnął w stronę otworu drzwiowego na wprost drzwi wejściowych; w korytarzu, w którym staliśmy, biegnącym wzdłuż ściany zewnętrznej, były jeszcze trzy drzwiowe otwory, jedno po

prawej i dwie pary po lewej. We wszystkich brakowało nawet ościeżnic, zaradni miejscowi wypruli kiedyś wszystko, co się dało. W pokoju, do którego mnie wepchnął „Józek”, było okratowane okno. Do krat z lewej i prawej przywiązali za nadgarstki dzieciaki. Chłopcy stali zapłakani, z buziami, na których rozsmarowały się łzy i brud. Uśmiechnąłem się do nich, tylko czy to mogło dodać im otuchy? Dorośli może by się ucieszyli, że odsiecz jest blisko, a czy ośmiolatka może pocieszyć świadomość obecności posiłków?

Ten drugi, to był Marek, miał za pasem broń. Znaczący gazowiec. Może dlatego nie strzelał, żeby się nie zdradzić? To on został „trafiony” – draśnięty w głowę powyżej ucha. Ale tylko draśnięty.

Krwawienie już ustało.

– Dzieci was obciążają – powiedziałem, przekroczywszy próg. – To dla was tylko kłopot. Nie męczcie ich, wypuście, a ja przecież zostaję. I będziemy rozmawiali.

– O czym, kurwa? – Podskoczył do mnie ten z tetetką i wsadził mi lufę pod brodę. Potulnie zadarłem wysoko głowę; nie patrzyłem mu w oczy. – O czym, ty wszo pierdolona?

„Wesz” – szpieg. Albo gość umyślnie popisuje się kminą, albo rzeczywiście siedział, czyli na pewno nie Warnicki.

– Przecież chyba nie macie złudzeń, że się stąd wyrwiecie? – Za lasem zaburczały silniki. – Śmigłowiec, słyszycie? Za kilka minut nawet zając nie wymknie się z kordonu.

– Pierdolę zające – powiedział i stuknął mnie kolbą w czoło.

W gruncie rzeczy dałem ciała. Trzeba było wyrwać mu broń; ten drugi, z gazowcem się nie liczył. Po pierwsze, w zasadzie nie miał broni, po drugie, chyba widział, że się wpakował w niezłe szambo. No i nie strzelał do ludzi, on miał o co się targować. Ale trudno, dogodny moment umknął. Potarłem czoło, żeby bandzior poczuł satysfakcję. Odskokzył.

– Chcesz gadać, to najpierw słuchaj – powiedział. – Chcemy jedną waszą furę, siadasz za kierownicą, bierzemy bajtla i jedziemy sobie stąd. Jak będziemy poza kordonem, wypuścimy was i po krzyku. Nie bój się, nie będziemy wyrwać chwasta.

„Wyrwać chwasta” – zabić przedstawiciela prawa. To też mi śmierdziało. Musiał wiedzieć, że zastrzelił kogoś w banku, że nie ma co liczyć na okoliczności łagodzące, i patrząc mi prosto w oczy, udawał, że nie ma takiej wiedzy. Na co liczył? Na wóz liczył, na wóz, potem trzepnie się w tył głowy kierowcę, z czystej sadystycznej nienawiści do wszystkiego i wszystkich, którzy nie mają takich kłopotów jak oni, zabije Warnickiego i dzieciaki, i runie w Polskę. Zdesperowany, rozjuszony, rozgrzeszony we własnym popierdolonym sumieniu. „Postępuję tak, bo oni mnie do tego zmusili! Gdyby się nie pchali ze swoimi spluwami, gdyby mi pozwolili spokojnie odjechać... A tak to macie!”.

– Wiesz, że to niewykonalne. Nikt mi nie pozwoli dać wam fury – powiedziałem. – Choćby dlatego, żebyście nie mogli narozrabiać więcej. – Popatrzyłem na Warnickiego. – W tej chwili jeszcze nie wszystko stracone, ale jeśli odrzucicie okazję do uwolnienia zakładników, prawo zacznie doliczać wam miesiące i lata z każdą godziną przetrzymywania dzieci.

Warnicki obrzucił rozpaczliwym spojrzeniem dzieciaki; młodszy chłopiec zaczął płakać. Odwróciłem się do niego, żeby powiedzieć coś uspokajającego, ale nie zdążyłem. Ten z pistoletem odskoczył jeszcze o pół kroku, nagle odwrócił się i strzelił do współnika. Mężczyzna zgiął się wpół, trafiony z odległości metra w brzuch, i z jękiem zwałił się na kolana. Przyciskając ręce do tułowia, wytrzeszczył oczy.

– Poso... ka? Co ty robisz-sz?

Zwałił się na bok. Obaj chłopcy ryczeli na cały głos.

Posoka popatrzył na mnie. Spokojnie podniósł pistolet. Cholera, ile jeszcze miał tam naboji?

Przeładowywał wcześniej? Miał zapasowe magazynki czy zostały tylko trzy pociski? Nie, za pewno się czuje, musiał mieć zapas amunicji – i wycelował do mnie.

– Nie będziemy negocjowali, psie! – wycedził. – Albo zrobisz, co ci każe, albo rozwalę jednego szczyła... – Przesunął lufę i wymierzył w młodszego z chłopców. – Pif! – powiedział i udając podrzut, uniósł z uśmiechem pistolet.

– Posoka-a... – jęknął Warnicki.

Posoka odwrócił się do niego.

Nie było już na co czekać...